

Ja jako czternastoletnia dziewczyna zostałam uprzedmiotowiona pracą w kopalni pod ziemią jako robotnik. Wkrótce do wnętrza kopalni odbywało się po drabimie jarze or średniczkach (150 metrów). Praca moja polegała na tym że odbierałam srebrne utrobek od kazała który odbijał kilofem, i tadeuwałam do najomiku i polaniem ten rdzeń do urady toboroty. Polanie rdzera odbywało się plecami gdyż smarek nie mogłam gdyż miałam sily. Czasokres mojej pracy wynosił 10 godzin na dobę, a tym czasie musiałam wykonać normę 110%. W ramach tego dostawałam jedzenie takie "UFI" jest to potrawa z rybią głową i kilka ziemniak kazy. a na drugie danie tyłka kazy jagłomy z cerna. W wypadku nie wykonania normy dostawałam tylko "UFI" drugiego dania byłam porzbaniona. Praca w kopalni była dotuwnoms. Do domu przychodziłam północami z niepokojem. Siostra moja została zatrudniona jako ludoblaniec i musiała nie pracować, gdyż wyle chorowała, nie mogła dostać się do tego klimatu, a w tym celu pracy i niedożywienia zycie stało się nie do zniesienia. W tej sprawie ludzki rozum nie był, a pozostawiony tyfus. Ludzi umierał strasznie. W bardzo krótkim okresie pojawił się cmentarz. Wpływały dokucalnie były urzy, które niedołączył spokoyu po ciężkiej pracy. Waleczyliśmy z nimi w różnych metodach, ale to były tylko półśrodki. To tyfusie pojawiła się choroba, rzekłut i tak znowa "Kuzia ślepa".

Jak wspominałam, pracowałam z uciążliwym na pół drabim kazałem, który smarek mnie nie nazwał jak "Polska Pani" słowo to uważano u nich na przekór obelga dla polki. Podczas pracy, ulekajam dwa razy wypadkami podczas zniżania się stopu w kopalni. Po wypadku w szpitalu znowo wracałam do do mojej "kazała" jak Galerka do urady. Od tej ciężkiej pracy na miel smarek powstał zgroźenie, a na plece od sturakt od polama i podjętowania wykolejony rdzeń. Stałam się jak jezne zmlake zaprzeczone do jasna. Jedyną moją myślą było to, żeby do syta napić się chleba i ziemniaków.

Nie raz, a wiele wspomnień zastanawiałam się, jak to się stało że przeżyłam tak ciężką i niebezpieczną pracę katorżniczą na moim młodym prawie dziecięcym wiek. Po prostu przeżyłam chudo do szczy i uszyje się jak i inne dzieci w szpitalu. Tej tajemnicy mnie porzbaniono, ale dla czego przeżyłam nie rozumiem jeszcze znowo. Kuzin było potrzebna moja dumferec smeka. Nikomu nawet tego stanu nie powiekszałam.

Ja przeżyłam wiele razy przerażenie i rozumiałem, że co wiec stałam się katorżniczką. Minęło lato, a znowu zycie w baraku smale nie zmieniło się chyba tylko to, że mieli odzież na zimę i porzbaniono ich stopie bez kazy. Zbliżała się zima i należało się do niej przygotować się. Trochę poznaliśmy obecne Norwegi i ludzi umieszczają tu jako tybylew. Od nich nauczyliśmy się o jak sposob zabezpieczyc się przed zimą. Należało wykopać głęboka ziemianki i w nich przetrwać ciężką mroźną zimą. Rozpoczęliśmy kopad podziemne ziemianki, bo coż my kobiety mogłyśmy same zrobić. Praca nad budową odbywała się w okresie mroźnym i zimnym. W pracy. Budowę okonczyliśmy w ciepłym miejscu i następnie przestaliśmy do nowego domu. W domu tym nauczyliśmy się lat. zycia. Ogrodzenie ziemianki odbywało się przy pomocy t-zn. "Kziakou" suchy naczyni krowi i kacz. który mamusia i kreste kłoniem. Nie raz udało ukraść drewno z kopalni i przywiązać ^{złoty} pod nielami strachem gdyż to dania do dodawania kawy. Określenie ziemianki odbywało się za pomocą "koptiki" kaganek ziemiany

„Umieblowanie” takiej ziemi składało się z pracy wykonywanej z głową na której rozpoznano kłódka z suchej trawy zebranej na stepie. Woda była doprowadzana a beczkowozie i była wydawana alg otomány. Wymagalność to, skazywać, chociaż pod ziemią ale utarany. Zima trwały ekspedycje a latem chłodniejszy przed zimą.

Wierzę bardzo jako dotarła do tego miejsca wspomnianego przez Boga i ludzi to była wiadomość o zamorelu umarłym między Sikorskim a Stalnym o organizacji Wojska Polskiego na terenie ZSRR, a druga wiadomość o tym że żyje mój brat Władysław i znajduje się w Armii Andersa.

Zyję nam znaczenie polepszyło się, gdyż zajęli się nami międzynarodowy Czerwony Krzyż. Zaczęły nadchodzić paczki żywnościowe i lekarstwa, od ludzi zupełnie dla nas nieznanymi. Nasza rodzina zapiekowała się pan o możliwości kupić za pomocą Zjednoczonych Słowackich do polaków uległ znaczenie w sensie znaczenia i pojęcia. Zaczęło nas traktować jako przyjaciel, nymażnie mówili o nas jako o nieprzyjaciół przeciwnym niemiecom hitlerowskim. U polaków zamieszkał nadzieję przyjechać i porzucić do swojej ojczyzny. Nie trafiało to drugo, bo nie cały rok był do chwili zwołania słowackich dyplomatycznych z naszego zorientacji, i emigracji Wojska Polskiego do Persji.

Brat mój Władysław niedługo zaczął się zwracać do Armii Andersa lecz nie mogliśmy wyjechać ze względu na chorobę mojej siostry która leżała ciężko chorego u szpitalu. Wyjechało to na przykładzie losu starszego Władysława na podróż do ojczyzny spędził na wycieczkach. Pozostała sama Bernadetta i matka.

Władysław na podróż do kraju narodziła się podróż drugi w 1943 kiedy powstał Związek Patriotów Polskich, a wraz tym trójce jest 1 Ministerstwo Duszpasterstwa i Siedziad. Jaki przez jakiś czas egzystował ostatecznie, ja że matka chorego i mamusia staruszką musieliśmy zacząć wyjeżdżać z ziemiami Majkain-Zurabo. aż do 14 maja 1946, kiedy wrzucano nas przez placówkę NKWD i organizowano ze dostępnymi dokumentami na wyjazd do Polski.

Znowuż wyjechała na zachód i znowuż u wieżach. Droga podróżna Majkain-Zurabo - Pankow - Moskwa - Brest - Gruzja.

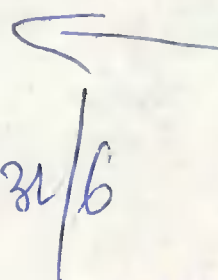
Po przyjeździe do Gruzji byliśmy głodni i zmarli bez rodziny bez dachu nad głową pozwoliliśmy się przedrzeć. Na domiar tego Gruzja ludność w okresie jako „znalazłszy” okazała nas jako „człowiek” przyłapano nas przez straż. Zrozumielismy że nasze miejsce tutaj jest nie poradane. Pomoc została okazana nam przez Wojsko Polskie które zapatrzyło nas w podstanie przykuły żywności. Między innymi (znalazłszy) byliśmy o moim starszym bracie Aleksandrze, że żyje w Ussku i Lublinie i zdecydowaliśmy się wyjechać do Lublina a Lublinie brata nie zastaliśmy, wyszliśmy w nieznany kierunek. Znowuż zostaliśmy bez żadnych środków do życia w Warszawie na stacji kolejowej Lublin. Zapiekował się nami Państwowy Urząd Repatriacyjny i umieścił w baraku w obozie koncentracyjnym na Majkainku. Od tego okresu rozpoczęła się druga podróż mojego życia. Wadzeniem ze opisane fakty mogę udokumentować nieznajacymi dokumentami pochodzącymi z administracji i kombinatu Majkain-Zurabo.

Staniawo

Malicka

ul. Wpasa Polskiego 31/6

Łomża



Staniawo
Malicka

© ARCHIWUM WSKRODNIE

240,
250.

18 WRZESNIA 1939 r. do mojej wsi przyszli sowieci; pamiętna to data. Brata aresztowano w grudniu, a w kwietniu 1940 r. przyszło po nas NKWD. Nakazali szybko się zbierać, gdyż — jak mówili — nie mają czasu litować się nad nami. Kazali wziąć 30 kg bagażu i pod eskortą wywieźli furgonką na stację kolejową w miejscowości Bogdanów. Był to 13 kwietnia — data, która również wryła się w moją pamięć na całe życie. Miałam wtedy 14 lat, moja siostra Franciszka — 17, a mamusia — 62. Trzy kobiety wyrwane z rodzinnego gniazda przodków rozpoczęły tułaczy los Polaków wieszonych starymi szlakami zesłańców na Sybir.

Załadowano nas jak przedmioty lub zwierzęta do bydłowego wagonu. 36 osób pozbawionych światła, ciepła, życia i wody. Do załatwiania czynności fizjologicznych służył otwór w podłodze wagonu. Okna zakratowano, drzwi zamknięto. W czasie jazdy nie mogliśmy się zorientować, w jakim kierunku nas wiozą. Wyżywienie odbywało się z własnych zapasów. Gorzej było z wodą.

Ta męczeńska droga trwała 18 dni. Wyładowano nas z pociągu wycieńczonych. Z naszego wagonu wszyscy dojechali, ale widzieliśmy, że w innych droga dla niektórych już się skończyła. Miejscem „edenu” był brzeg rzeki Irtysz. Dwie doby czekaliśmy na statek, który miał nas przewieźć na drugi brzeg. Czekaliśmy pod gołym niebem. Wielu ludzi było słabo ubranych i nie przystosowanych do tych warunków klimatycznych. Wtedy trwała tam zima, a jaka jest, ten tylko potrafi zrozumieć, kto ją przeżył. Popłynęliśmy na drugi brzeg „szczęśliwości”. To raczej wyglądało jak przeprawa przez rzekę. Styks do piekła. Nikt nas nie zapytał, czy jesteśmy głodni lub spragnieni, a ciągle popędzano nas słowami: „Bystrej, polskie pany”. Ze statku załadowano nas na kolejny transport o zaprzęgu wielbłądzim. Po raz pierwszy zobaczyłam to zwierzę i mocno utkwilo mi w pamięć.

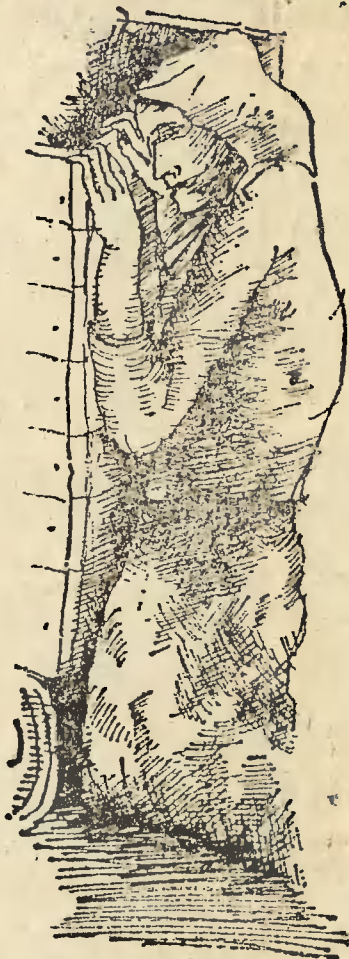
Ta przedziwna wielbłądzia karawana wiozła nas, Polaków, przez ogromny step, pozbawiony jakiegokolwiek roślinności i wody; żadnego życia. To było takie przerażające w porównaniu z naszą ojczyzną, którą tak niedawno musieliśmy opuścić. Ta dziwna, a zarazem makabryczna karawana dotarła do celu. Była nim kopalnia złota „Majkain-Zołoto”. I tu właśnie rozpoczęła się moja idylla młodości.

Umieszczono nas w ogromnym baraku, wspólnym dla 114 rodzin o

różnych profesjach, poglądach i wychowaniu. Były tam żony generałów, policjantów, urzędników państwowych; rolnicy i robotnicy. Barak, w którym znalazła się moja rodzina, wykonany był z dykty

dziewczyna, została przydzielona do pracy w kopalni jako górnik. Wejście do jej wnętrza odbywało się po drabinie, jak w średniowieczu (450 metrów). Odbierałam szufłą urobek od Kazacha, który odbi-

KARAWANA NADZIEI



jał go kilofem, i ładowała do wagoników, a potem pchałam wózek do windy towarowej. Wózek pchałam plecami. Inaczej nie mogłam, bo nie miałam siły. Czas mojej pracy wynosił 10 godzin na dobę. Musiałam wykonać normę 110 proc. Za to dostawałam talerz „ufy” (jest to potrawa z rybiej głowy i kilku ziarenek kaszy), a na drugie danie łyżkę kaszy jaglanej z oliwą. W wypadku niewykonania normy dostawałam tylko „ufę”. Praca w kopalni była dwuzmianowa. Do „domu” przychodziłam półmartwa z wycieńczenia. Moja siostra została zatrudniona jako „budowlanica”. Mamusia nie pracowała, gdyż ciągle chorowała, nie mogąc przystosować się do tego klimatu.

Życie stało się nie do zniesienia. Pojawiły się wszy i tyfus. Ludzie umierali straszliwie. Potem zaczęła się anemia, szkorbut i tzw. kurza ślepota.

Podczas pracy dwa razy uległam wypadkowi (zawalił się strop w kopalni). Po wyleczeniu w szpitalu znowu wracałam do mojego Kazacha, jak galernik do wiosła. Od tej ciężkiej pracy na moich rękach powstały zgrubienia, a na plecach siniaki. Kazach nazywał mnie „polską panią” (to było uważane u nich za największą obelgę wobec Polki). Stałam się niczym jucznie zwierzę zaprzężone do jarzma. Jedyną moją myślą było najeść się do syta chleba i ziemniaków.

Nieraz zastanawiałam się, jak to się stało, że wytrzymałam tę niewolniczą pracę katorżnika.

Minęło lato, a nasze życie w baraku wcale się nie zmieniło. Tyle że wielu odeszło na zawsze, pochowanych w stepie bez krzyża. Zbliżała się okrutna zima. Od tubylców nauczyliśmy się, w jaki sposób się przed nią zabezpieczyć. Rozpoczęliśmy kopanie rodzinnych ziemianek. Budowę ukończyliśmy w ciągu miesiąca. Nastąpiły przesiedliny do nowego „domu”, w którym przeżyliśmy 6 lat. Ogrzewaliśmy ziemiankę przy pomocy tzw. kiziaków (suchy nąwóz krów i kóz zbierany latami na stepie). Nie raz udało się ukraść drzewo z kopalni i przynieść pod wielkim strachem, gdyż groziła za to kara. Oświetlałyśmy

„dom”, tzw. kopcilką (glinianym kagankiem). „Umeblowanie” ziemianki stanowiła gliniana przycza i „koldra” z suchej trawy zebranej na stepie. Wodę dowożono w beczkowozie i wydawano według normy.

Pierwszą radość, jaką przeżyłam w tym miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi, spowodowała wiadomość o zawarciu umowy między Sikorskim i Stalinem o organizacji wojska polskiego na terenie ZSRR; drugą, że żyje mój brat Władysław i jest w armii Andersa. Nasze życie znacznie się polepszyło, gdyż zajęł się nami Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Zaczęły nadechodzić paczki żywnościowe i z odzieżą od ludzi zupełnie nam obcych. Naszą rodziną opiekował się pan Kruk ze Stanów Zjednoczonych. Zmienił się stosunek do Polaków. Zaczęto nas traktować jak przyjaciół. Wyraźnie mówiono się o wspólnej walce przeciw Niemcom hitlerowskim. Polakom zaświatała nadzieja przeżycia i powrotu do ojczyzny. Nie trwało to długo, niecały rok, tj. do chwili zerwania stosunków dyplomatycznych z Rosją sowiecką i ewakuacji wojska polskiego do Persji. Nasz brat Władysław załatwił sprawę zabrania nas do armii Andersa, lecz nie mogliśmy wyjechać ze względu na chorobę mojej siostry. Nadzieje na powrót do ojczyzny spęły na niczym. Pozostała nam beznadziejność i pustka.

NADZIEJA NA POWRÓT do kraju narodziła się po raz drugi w 1943 roku, kiedy powstał Związek Patriotów Polskich, a zaraz potem zaczęto formowanie I Warszawskiej Dywizji Piechoty w Sielcach. Kto jeszcze miał siłę, zgłaszał się na ochotnika. Ja z chorą siostrą i starszą mamusią musieliśmy nadal wegetować w „Majkain-Zołoto” aż do 14 maja 1945 r., kiedy wezwano nas przez placówkę NKWD i oznajmiono, że dostajemy dokumenty na wyjazd do Polski.

I znowu wędrówka na zachód, i znowu w nieznane; droga powrotna „Majkain-Zołoto”-Moskwa-Brześć-Gniezno. W Gnieźnie, bosi i głodni, bez rodziny i dachu nad głową, poczuliśmy się przerażeni. Na domiar złego ludzie określali nas jako „czerwonych”. przywitano nas wręcz wrogo. Zrozumieliśmy, że nie jesteśmy tu pożądanymi. Pomoc okazało nam wojsko polskie, które opatrzyło nas w podstawowe artykuły żywnościowe. W tym czasie dowiedzieliśmy się, że starszy brat Aleksander służy w wojsku w Lublinie, lecz tam go nie zastaliśmy. Zaopiekował się nami Państwowy Urząd Repatriacyjny (umieścił w baraku w obozie koncentracyjnym na Majdanku).

STANISŁAWA MALICKA
Rys. Stanisława Rędzielawskiego

